



Stefan  
Hertmans

Głośniej  
niż śnieg

MARGINESY



Stefan  
Hertmans  
Głośniej  
niż śnieg

Z niderlandzkiego przełożyła ALICJA OCZKO

MARGINESY



Przekład powstał dzięki wsparciu finansowemu  
Flemish Literature Fund  
([www.flemishliterature.be](http://www.flemishliterature.be))

*Nothing has changed.  
Everything has changed.*

DAVID BOWIE

*Harder dan sneeuw*

COPYRIGHT © 2004, 2015 BY Stefan Hertmans  
ORIGINALLY PUBLISHED BY De Bezige Bij, Amsterdam.

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Alicja Oczko  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
Warszawa 2017

# I

*A więc to ma być świat.*

J. W. VON GOETHE, *FAUST*,  
PRZEŁ. JERZY KONOPKA

Ten podmuch wiatru był jak uderzenie olbrzymią dłonią; wydawało się, że auto zostało niespodziewanie brutalnie popchnięte. Musiałem mocno zaciskać ręce na kierownicy, żeby utrzymać samochód na wąskim pasie ruchu. Obok mnie pędziła wielka ciężarówka. Na wysokości oczu widziałem niewiele więcej niż okopcone felgi i trzęsącą się rurę wydechową. Olbrzym trzeszczał, sapał i dyssał ogłuszająco, pompując mi do środka przez na wpół otwarte okno czarne kłęby dieslowego dymu. Zamknąłem je krótkim pociągnięciem za rączkę. Starłem się nie wdychać zanieczyszczonego powietrza zbyt głęboko. Zdawaliśmy się rzucać na następne światła jak lemingi na linię przypływu. W tej samej chwili za oświetloną fasadą bazyliki zobaczyłem sierp księżycy wylaniający się obok połączanego krzyża, jakby stał się bizantyjskim ornamentem. Kiedy patrzyłem na swoje ręce na kierownicy i myślałem o matce, usłyszałem barokową muzykę. Brzmiała jak prosta piosenka, przejmująca, a jednak lekka. *Bisogna morire* – musisz umrzeć. Nanana. „Włoska

pieśń ludowa z siedemnastego wieku” – powiedział po zakończeniu dziewczęcy głos. Wyobraziłem sobie ciemnoblonde chłopięcą głowę w pustym studiu. Znowu ruszyłem, zanurzyłem się w krętym tunelu i rzuciłem auto w szybszy strumień po lewej, jak nieważki płynąłem pod miastem, ponownie zająłem prawy pas, wyjechałem przy wysokich biurowcach, jakby wylot tunelu mnie wypluł, ujrzałem odległe światła na najwyższych piętrach, atmosferę opuszczonych biur, gdzie nocne oświetlenie jeszcze rzuca swój zimny blask na nudne stoły. Srebrzysty pył, który brwi i rzęsy farbuje czułą powłoką lat. Wiersz Theodore’a Roethkego, o ile dobrze pamiętam.

W radiu męski głos powiedział do dziewczyny, że wiek dwudziesty był nie tyle wiekiem ideologii, ile muzyki barokowej. Jego zdaniem nigdy wcześniej nie osiągnęła ona takiej popularności i doskonałości wykonania. Dziewczyna wydawała z siebie dźwięki aprobaty, dzięki czemu radio stało się bardziej intymne, niż mogło być.

Zawsze się dziwiłem, że jazda samochodem przypomina sen; świat przesuwa się obok, człowiek jest wyjęty spod praw fizyki, lecz jest to sen, który w mgnieniu oka może cię zabić. Tamtego wieczoru, samotny na drodze, pozwoliłem uczuciom popłynąć. Stukałem w kierownicę, przeklinałem albo śpiewałem, śmiałem się lub jęczałem z powodu tego, co czyniły mi moje rozproszone myśli.

Kiedy dotarłem do domu, żona spała na kanapie. Telewizor był jeszcze włączony; na ekranie zobaczyłem

opuszczoną przyczepę kempingową otoczoną kurami i bezzębego, mamroczącego coś mężczyznę z karabinem. Wziąłem pilota i nacisnąłem. Nagła cisza obudziła żonę.

– Późno wróciłeś – westchnęła, przeciągając się i przecierając oczy.

Burknąłem coś jak najbardziej niewyraźnie. Powoli weszła po schodach na górę, gdy ja tymczasem kręciłem się trochę po kuchni. Otworzyłem piwo, zjadłem kanapkę z chorizo i czytałem gazetę. W łazience wydmuchałem sobie pasemko białego tłuszczu spomiędzy zębów i powąchałem palce. Skrzywiłem się do lustra jak szympanś za kratami.

Kiedy przyszedłem do łóżka, leżała plecami do mnie, regularnie oddychając. Przysunąłem się do niej, poczułem, jak sennym ruchem pchnęła pupę w stronę mojego brzucha, wsunąłem rękę pod jej biodro. Łydki przeszły mi kłujący ból. To podobno od nerek. Tak mówi Marga.

W wydawnictwie przez cały dzień manipuluję przy ustawieniach nowego komputera. Z lekką migreną schodzę w południe po błędnych marmurowych schodach, idę na kanapkę za rogiem. W barze widzę dziewczynę, która mi się przygląda. Ponieważ czuję się niezręcznie pod jej nieskrępowanymi spojrzeniami, chyba raczej nieprzeznaczonymi dla mnie, chowam się za gazetą. Czytam niestarannie napisany artykuł, w którym pada teza, że Chazarowie, naród żyjący gdzieś w okolicach Kaukazu między 650 a 950 rokiem, wyznawali dwie religie jednocześnie. Podobno w czasie odkrycia tak zwanego skarbu

ze Spillings na Gotlandii znaleziono monety, na których zarówno Mahomet, jak i Mojżesz występują jako wysłańcy Boga. Rzecz w historii unikalna, zapewnia artykuł, ta tolerancyjna reprezentacja dwóch kultur równorzędnie przedstawionych na jednej monecie. Ale jak Chazarowie trafili na Gotlandię? Muszę to wyrwać i zabrać ze sobą. Obok widnieje artykuł o młodej australijskiej grupie rockowej, o której mówi się, że jest kombinacją Nirwany i Beatlesów. Trochę sałatki z tuńczykiem spada z mojej kanapki na prognozę pogody zapowiadającą spokojną jesienią aurę. Odkładam gazetę. Od połączenia majonezu z kawą robi mi się niedobrze. Czuję się jak głupia blondynka z bananem.

Pada, gdy wychodzę z baru kanapkowego. Grupa Indian, kołysząc się z głupkowatym uśmiechem, gra muzykę z Andów. Najniższy z nich, grubas z fletnią Pana, wygrywa melodyjki, które są nie na miejscu. *I'd rather be a hammer than a nail*. Ja również. Zastanawiam się, co by zrobili, gdybym napluł na monety w ich otwartym futerale na gitarę. Ślina z majonezem. Bosko tłusta. Jeden z gitarzystów kłania się, szczerząc zęby. Czuję się niezręcznie, kiedy wracam do wydawnictwa i siadam do korekty niekończącego się przeglądu z zakresu historii sztuki.

Późnym popołudniem mam kolejną wizytę u nefrologa. Okazuje się, że cierpię na niewydolność nerek. Byłoby lepiej, żebym dał się podłączyć do sztucznej nerki. Na razie raz w tygodniu, potem zobaczymy. Bezmyślnie gapię się na lekarza; nerki od zawsze płatały mi figle, często

miałem zapalenie, ale to wydaje mi się ograbianiem mnie z wolności, którego nie zakładałem. Życie wypełnione włączeniem się tam i z powrotem do centrum, później może trzy razy w tygodniu na dializę, leżenie plackiem i wpatrywanie się w odbłask gołej lampy, podczas gdy na zewnątrz ludzie siedzą w kawiarnianych ogródkach albo spacerują po parkach. Jestem zmęczony i otępiały, gdy wracam do samochodu. Widzę swoje odbicie w szybie. Nagle mam dosyć patetycznych szylkretowych oprawek na błyszczącym nosie. Znowu jadę w kierunku centrum, parkuję w podziemnym garażu, idę wzdłuż sklepów aż do optyka. Kupuję nowe okulary. Na szkła muszę poczekać jeszcze kilka dni. Czy nie chcę soczewek? Powiem to panu następnym razem.

– Proszę zadzwonić.

– Dobrze, dziękuję.

W domu na stole w salonie leży wiadomość: żona poszła na wernisaż do muzeum, w którym wcześniej pracowała. Jeśli chcę, to też mogę przyjść. Wyjmuję z zamrażalnika paczkę musaki, rozmrażam w kuchence mikrofalowej, wsadzam do piekarnika, otwieram butelkę rosé, pierwszy kieliszek wypijam jednym haustem, sięgam po gazetę, widzę te same artykuły co w południe, czuję w ustach tłustawy smak sałatki z tuńczykiem i kawy, przeglądam programy telewizyjne.

Wyjmuję pocztę ze skrzynki. Dziesięć kopert, z których tylko dwie zaadresowane do mnie osobiście. *Snail mail is junk mail*. Są na nich dziwne stemple, których

nigdy wcześniej nie widziałem; jakieś połączenie cyrylicy z pismem arabskim. Wącham listy. Jeden informuje mnie, że się spóźniam z zapłatą rachunku za telefon. Drugi jest od kolegi po fachu, który obecnie pracuje w Niemczech w wydawnictwie Weh & Klauwer. Wyjmuję musakę z piekarnika, aluminiowa foremka parzy mi palce. Wywalam zawartość na talerz, wyskrobuję foremkę do czysta, parzę sobie język na spalonych na czarno skórkach, wyjmuję chleb z pudełka, rozrywam kromkę na kawałki, nalewam sobie jeszcze jeden kieliszek rosé. Ten również wypijam duszkiem i zaczynam jeść. Pocałuj mnie w dupę, musako. Nie mogę spokojnie usiedzieć. Przeżuwasz, strzępię obrus, gazetę, jeszcze raz oglądam pieczętki na listach. Pismo przypomina to z chazarskich monet w prasie. Nonsens. Otwieram gazetę, porównuję, mam nieodparte wrażenie, że na tych starych monetach widnieje mniej więcej to samo co na stemplach na moich listach. Niemożliwe. W obcym piśmie wszystko wydaje mi się takie samo. Wystarczy, że marnuję życie na czytanie maszynopisów pełnych bzdur. Trzy czwarte tego, co przechodzi przez ręce redaktora, nie nadaje się do publikacji, a tyle główna się publikuje. *Part of my job*, czytanie bzdur. Wkładam talerz do zmywarki, zabieram ze sobą butelkę rosé i siadam na kanapie, żeby obejrzeć wiadomości. Kiedy się budzę, jest północ, a przede mną stoi moja żona. Przyjemnie pachnie alkoholem, papierosami i przepoconymi perfumami i śmieje się, bo tak gamoniowato się budzę.

Następnego dnia na drugim piętrze Institut du Monde Arabe w Paryżu wybucha potężna bomba. Potem dochodzi do pożaru i puste wyższe piętra zawałają się na niższe. Pięćdziesiąt sześć ofiar śmiertelnych i stu osiemdziesięciu trzech rannych. Kwadrans później olbrzymi wybuch w Bazylice św. Piotra w Rzymie. Część dachu gigantycznego kościoła zapada się po kilku minutach. Wśród licznych ofiar nie ma papieża.

Stoję właśnie na korytarzu z kubkiem kawy, gdy jedna z redaktorek, ta w czarnych okularach i z czarnymi włosami, ta w letniej sukience z rozcięciem, ta z opalonymi nogami, roztrzęsiona przychodzi nam powiedzieć, że wybuchła trzecia wojna światowa. Początkowo jej nie wierzymy i śmiejemy się z niej. Pretekst, żeby jej na moment dotknąć. Zapalam papierosa. Potem ktoś wybiega z sali konferencyjnej. Telewizja jest ustawiona na CNN; Rita najwyraźniej ma rację. Do piątej wpatrujemy się w obrazy, ciągle widzimy zawałającą się kopułę olbrzymiego kościoła. Dostaję esemesa od żony: czy widziałem. Widziałem, tak. Wpatrywałem się w te sceny z niedowierzaniem. Dałem się skusić na zdumione okrzyki, lecz jednocześnie czuję się całkowicie pusty. Nie rusza mnie to. Dlaczego mnie to nie rusza? – myślę. Szczypię się w ramię, rozglądam dookoła i widzę zaczerwienione twarze innych ludzi, strach w ich oczach.

Kiedy wychodzę z wydawnictwa, przede mną idzie dziewczyna, która wczoraj wpatrywała się we mnie w barze kanapkowym. Nosi czerwone szpilki, które cicho



stukają o chodnik. Wyprzedzam ją i przyglądam się jej. Nie odwzajemnia spojrzenia. Ból w łydkach, niejasny, uporczywy, złowieszczy. Sny i toksykologia.

Pierwsza dializa – moje ciało zostawia mnie na lodzie. Wcześniej zrobiono coś z żyłami mojej lewej ręki, chyba połączono dwie ze sobą. Nie chciałem tego widzieć. Zrobiło mi się słabo. Ból w ramieniu; mocno narzmiałe żyły. Czuję się jak zwierzę, które jest obracane, sprawdzane, czasem łapię oddech przy ostrych ukłuciach bólu w boku. Potem neonowe światełka w klinice niespodziewanie mnie uspokajają; wszystko odpływa, zapadam w drzemkę, jestem ofiarą maszyny. Zanieczyszczona krew przetacza się przez sztuczną nerkę, z której ma wpływać we mnie czysta już krew. Sole i ich chemia w moim ciele. Wyobrażam to sobie i nie rozumiem. Zapadam się w nieistotność, którą szpital wmawia pacjentom, już choćby za sprawą gładkości chłodnych maszyn, cicho rozmawiających lekarzy i pielęgniarek z ich bezwiednym uśmiechem. Potem idę się napić whisky w kawiarnianym ogródku. Przy pierwszym łyku dolna warga zaczyna mi drżeć tak, że trzęsie się również moja ręka, szklanka się kołysze, mimowolnie zaczynam wydymać wargi i niemalże płakać. W brzuchu czuję gwałtowne skurcze, robi mi się niedobrze. Strasznie się wstydzę, na dodatek przewracam szklankę, wstaję, potykam się o nogę krzesła. Zatrzymuję się kawałek dalej, przy betonowej donicy z kwiatami, żeby złapać oddech.

W domu znowu trzy listy opatrzone dziwnymi stempami. Odkładam je nieotwarte na bok.

Sięgam po słownik, przy hasle dializa czytam drugie znaczenie: „(med.) spadek sił prowadzący do śmierci”.

Szukam w internecie, trafiam na stronę uniwersytetu w Twente:

Holender Willem Kolff około 1942 roku wynalazł sztuczną nerkę. W pierwszej sztucznej nerce zastosowano płaski wężyk z jelit kiełbasianych (celofan lub celuloza). Wężyk ten owijano wokół kręcącego się cylindra zanurzonego w kąpeli solnej. Kąpiel solna to roztwór soli w wodzie. Do wypełnienia wężyka potrzeba paru litrów krwi. Krew jest pompowana przez wężyk, po czym mocznik i inne drobne molekuly przenikają przez celofan do kąpeli solnej. Celofan nie przepuszcza białek ani krwinek. We krwi znajdują się sole, które nie mogą wyciec do sztucznej nerki.

Oglądam zdjęcie pierwszej sztucznej nerki. Żelazna maszyna.

Zaraz potem surfuję po stronie erotycznej, widzę kilka nagich dziewczyn w dziwnych pozach, myślę o ich nerkach, o francuskim szlagierku z lat sześćdziesiątych, zamykam komputer, kręcę się po pokoju.

*Je vais et je viens, entre tes reins.* Wyszukuję słowo *dialysis* w zniszczonym słowniczku greckim z czasów szkolnych. *Dialysis* może oznaczać zarówno rozdzielenie, jak i pojednanie. Z kolei *analisis* znaczy wybawienie,

a zarazem umieranie. Słowniki rzadko się do czegoś przydają.

Słoneczna, piękna pogoda, która wywołuje we mnie przygnębienie. Dźwięki brązu wydawane przez kościelne dzwony unoszą się nad miastem, niczym stado akustycznych gołębi prześlizgują się nad pędzącym ulicznym ruchem w alei. Z trudem posuwam się naprzód w korekcje rozwlekłego i nudnego jak flaki z olejem maszynopisu. Mam za sobą trzy niespokojnie dni. Przez cały dzień w wydawnictwie włączone jest radio, migawki wiadomości, pojawianie się arabskich nazwisk w każdym zdaniu. Panika na giełdzie. Ból w nerkach, jednocześnie niejasne seksualne podniecenie. W kieszeni marynarki paczka tabletek: bikarbonat. Lepiący się pot, gapienie się w plakat z zezowatą kobietą Picassa naprzeciwko mojego biurka. W południe idę do baru kanapkowego, gdzie wszyscy wpatrują się w duży ekran telewizora. Widzę punkciki wirujące wzdłuż przewracających się, powykrzywianych żelaznych belek wielkiego, pustego budynku. To podobno ludzie. Niektórzy, spadając, trzymają się nawzajem w ramionach. *Ashes to Ashes* Bowiego w tle. Zamawiam piłę, sałatkę i zupę z trybuli. Kiedy przesuwam się z tym do stolika, ktoś mnie popycha i zupa chlusta na moje lniane spodnie. Słyszę za sobą „o, przepraszam”. Kiedy się oglądam, stoję twarzą w twarz z tamtą dziewczyną. Widzi katastrofę na moich spodniach, waha się, czy wybuchnąć śmiechem, czy patrzeć z udawaną rozpaczą. Wzruszam ramionami i robię swoją najbardziej baranią minę. Mimo

wszystko więc się śmieje, udając żal, wbija zęby w dolną wargę. Sięga po kilka serwetek i podaje mi. Pyta, czy może zapłacić za czyszczenie i za nową zupę z trybuli. Spodnie ciepławo kleją mi się do kolan; w kroku czuję spływającą strużkę wilgoci.

– Dziękuję – odpowiadam cierpko. – Najpierw pójde kupić nowe spodnie.

Wzrusza ramionami, mówi „okej”.

Patrzy wyczekująco; brwi uniesione, a oczy przez kilka sekund nieruchome.

Zauważam, że prawie dyszę. Spoglądam w dół: odraza i wstyd.

– Może znasz tu w pobliżu jakiś dobry sklep z ubraniami?

Powiedziałem to, zanim o tym pomyślałem.

Przez moment mruga oczami, zdaje się zastanawiać, czy to propozycja.

– Przynajmniej tyle mogę zrobić – odzywa się na wpół do siebie.

Jak idiota człapię ulicą handlową z dziewczyną, o której wczoraj marzyłem. Idę takim krokiem, jakbym narobił w spodnie, z bólem w lędźwiach i zbyt wysokim tętnem. Dziewczyna chichocze, widząc spojrzenia przechodniów. Wstyd za nieszczęśnika obok i współczucie dla niego przerastają jej siły. W niejako pocieszającym geście bierze mnie pod ramię. Stężały tłuszcz klei mi się do ud. Wchodzimy do sklepu, w którym styl ubrań jest nieco zbyt młodzieżowy dla takiego bezkształtnego czterdziestolatka jak ja. Kieruje mnie do działu, w którym wiszą

dżinsy i wąskie czarne spodnie; czuję ukłucie zazdrości, bo najwyraźniej robiła to już wcześniej. Na pewno modny chłopak, koncerty rockowe i palenie marychy, piercing pępka i kinky seks, co ona tu ze mną robi, nikt już nie jest niewinny. Pograżam się w biernej, całkowitej śmieszności. Wyciąga gdzieś z półek niebieskie spodnie i trzyma przede mną.

– Przymierzysz?

Nirvana z głośników, ale w wersji muzak.

Idiotyczna propozycja, te lazurkowe jajościski. Kiwam głową i kuśtykam do przymierzalni. Zdejmuję zabrudzone lniane spodnie, rzucam tę szmatę w kąt na podłogę, boleśnie uderzam się łokciem o zbyt nisko zamontowany wieszak, klnę, słyszę, jak pyta, czy pasują, mamrocę pod nosem „zaczekajże chwilę”, jeszcze mocniej zasuwam zasłonkę, ale z powrotem się odchyła, widzę, że jasny zielony pasek widnieje nawet na moich białych cerruti 1881, szarpiąc się, wbijam nogi w klaunowskie spodnie, jak najbardziej wciągam brzuch. Tak, te pasują. Staram się nie oddychać głęboko, odsuwam zasłonkę i wychodzę z konfesjonatu. Na krzeselku zostawiłem okulary w szylkretowych oprawkach.

Widzę siebie jak rozmazaną plamę.

Chichot obok mnie.

*Angie Stonesów* w wersji muzak.

Niebieska mgła w lustrze; ręka, która sięga mojego ramienia. Ochota na najzwyklejszy atak płaczu, odświeżający deszczyk na duszy, biała chmurka z waty za południowym pagórkiem, sześć lat i moja matka,

która mówi: „Ależ chłopcze, założyłeś spodnie na lewą stronę!”. Jej przyjaciółki się śmieją. Wolno mi usiąść na kolanach.

– Tak? – Szeroko otwieram bezużyteczne oczy.

– Naprawdę, przecudnie wyglądasz w tych spodniach.

– Uśmiecha się. – Potrzebny jeszcze ładny pasek, wybrałam go dla ciebie.

Majstruję przy pasku jak chłopiec, któremu po raz pierwszy przyszło rozpiąć biustonosz. Nie radzę już sobie z własnym ciałem. Ból w okolicach żołądka przez wciąganie brzucha.

Pasuje jak ulał, bez dwóch zdań. Mój pępek staje się bolesnym supłem.

Dziewczyna wyjaśnia sprzedawczyni, że chcę zostać w tych spodniach. Usuwanie metki, potem jeszcze tego elektronicznego dinksa. Dociera do mnie, że jestem trochę przygarbiony. Kiedy prostuję plecy i wciągam brzuch, czuję przy pasku do spodni twarde kostki ręki sprzedawczyni. Wchodzę do przymierzalni, wykopuję lniane spodnie z zupą do kąta, ponownie zakładam sandały i okulary w szylkretowych oprawkach.

Gdy wychodzę z kabiny, znowu pisk. Spoglądam w lustro: przy tych spodniach, w których wyglądam jak stary napalony pomyleniec, sandały wydają się ironicznym elementem stroju na pochod emerytowanych transwestytów. Dziewczyna chce zapłacić za spodnie, stanowczo odrzucam jej propozycję, może trochę za szorstko. Unosi brwi i bagatelizuje moje zastrzeżenia.

Już dobrze, już dobrze.

– Proszę pana! Zapomniał pan o swoich drugich spodniach!

Odwracam się, nieśmiało starając się wyglądać na zblazowanego:

– Może je pani podarować swojemu dziadkowi – mówię lekceważąco.

Pierwszy szeroki uśmiech aprobaty obok mnie.

A więc nowe buty.

– Jak długo trwa twoja przerwa? Moja prawie się skończyła.

A, co tam.

Czy ktoś taki poświęca całą energię pierwszemu lepszemu idiocie, którego oblewa zupą? Pracownica opieki społecznej? Dziwka heroinowa? Odkryła właśnie, że mąż ją zdradza?

Nie zadawać pytań.

Wystawy sklepów z butami znowu dziś pięknie wyglądają, przyjazne smoki śmiejące się wszystkimi zębami w paszczy zza wielkich szyb. Egzotycznie wypindrzona sprzedawczyni musi na mój widok na moment odwrócić głowę, zanim jej uśmiech przybierze neutralny wyraz. Porozumiewawcze spojrzenie z dziewczyną.

Widzę morze przyprawiających o mdłości człapów we wszystkich rozmiarach i kolorach.

W tle muzyka Moby'ego. *Why Does My Heart Feel So Bad*.

Znowu dziewczyna występuje z inicjatywą. Posłusznie podaję swój numer buta, dwie kobiety wybierają, wymownie unoszą brwi, czasem rzucają mi pospieszne spojrzenie.

Nie, lepiej te ostre noski. I te sportowe buty też nie, nie znoszę siwiejących facetów w średnim wieku w niechlujnej marynarce na miarę i adidasach. Czego więc chcę?

Ach, nie tak wiele, ogródka za domem z kwitnącymi lewkoniami, trochę Bacha w otwartym domu, porannego słońca, lnianych spodni i wygodnych sandałów, dziewczyny kładącej mi ręce na ramionach tak, że czuję mentol w jej ustach i zapach oświetlonej słońcem szyi.

– Czegoś zgrabnego, najchętniej ciemnego – mówię. Uznają, że to „niezły pomysł”.

Ale najpierw koniec z tymi nieświeżymi skarpetkami, tam wiszą marki Hugo Boss w niebiesko-czarne paski.

Tam widzę świetne tenisówki, granatowe, z białym wzorkiem w grochy, rodzaj sportowego obuwia dla ludzi, którzy nie uprawiają sportu.

– O, spójrz tutaj – mówię do dziewczyny. – Moja matka nazywała to *plumetis*.

Chcę je przymierzyć. Dobrze pasują. Patrząc na swoje stopy w dużym lustrze i trochę poruszam palcami. Obie dziewczyny przestają teraz nad sobą panować; jedna z nich, blondynka obok mnie, zaciska nos, a potem parska śmiechem. Na co druga, ciemnowłosa, na prawo ode mnie, nie może dłużej utrzymać neutralnego wyrazu twarzy sprzedawczyni. Dostaje czkawki, parska, natychmiast udaje, że kaszle, krztusi się, po czym zdecydowanie, z przepaszającym wzrokiem mówi:

– Nie, proszę pana, tego bym nie brała.

Szafirowe tenisówki w białe kropki uważam za najpiękniejszą rzecz na świecie. Letnie poranki, bieganie w stanie nieważkości, do czerwca tak daleko.

– Niech pan weźmie raczej coś bardziej klasycznego – przekonuje blondynka, a ciemnowłosa jej przytakuje.

Pozwalam coś sobie zaproponować, grzecznie przymerzam parę nic niemówiących, modno-klasycznych butów. Trochę uwierają.

– Myślę, że bardzo dobrze pasują.

Jej usta w dziobek.

Przytakuję. Ból należy tylko do mnie.

Przez chwilę przechadzam się tam i z powrotem przed lustrem. Tamte dwie wymieniają spojrzenia. Dziwne, że nie umieram już ze wstydu jak wcześniej. Mam to gdzieś. Jestem człowiekiem od randek ze sztuczną nerką. Jestem wolny.

Po zaledwie dziesięciu minutach jest po kłopotcie.

– Za skarpetki ja zapłacę.

Mówi to zdecydowanie, a jednak serdecznie.

Dobrze, na to się zgadzam.

Znowu stoimy na ulicy.

Południowa przerwa minęła. Żegnam się, dziękując sztywno dziewczynie, jakbym kij połknął, i podając bojaźliwą rękę. Zapominam spytać o jej imię.

Kiedy pchnięciem otwieram drzwi do swojego pokoju, słyszę najpierw Paula, który gwizdże przez zęby, a potem chichot Rity. Uśmiecham się usprawiedliwiająco, milczę, siadam. W radiu ogłoszono świętą wojnę z terroryzmem.

Wszyscy mówią nagle o Azerbejdżanie. Czuję się jak astmatyk. Boli mnie brzuch. Usiadłszy, natychmiast rozluźniam klamerkę i rozpinam guzik spodni.

Pod koniec popołudnia dzwonię do optyka: że tak zrobimy, z tymi soczewkami. Dane już ma. Pojutrze mogę odebrać.

Wymyślam najidiotyczniejsze wymówki, żeby wytłumaczyć żonie tę zamianę ubrań, tworzę cztery różne wersje, jak najbardziej spójne, po czym decyduję się powiedzieć jej prawdę.

Kiedy wracam do domu i otwieram usta, żeby zacząć, odzywa się:

– No, tego ci było trzeba. Są mniej rozczulające niż ten lniany worek, w którym się włóczyłeś przez całe lato.

Patrzę na nią zaskoczony.

– To dlaczego nigdy tego nie powiedziałaś?

Wzrusza ramionami i nalewa sobie rosé do kieliszka na wysokiej nóżce. Pyta, czy też chcę. Mówi coś o Azerbejdżanie i Teksasie. Ściąga usta w ciup przy brzegu kieliszka i sączy oszczędny łyk wina. Lustruje mnie z wysoko uniesionymi brwiami, potrząsa głową, potem wypija duży łyk, a ja słyszę, jak gulgocze jej w gardle.

Na moim stole do pracy leżą trzy nieotwarte koperty. W pierwszej kolejności rzucają mi się w oczy stemple; tym razem zrobione czerwonym tuszem. Pierwszy list zawiera mój rachunek telefoniczny, drugi zaproszenie na odczyt, trzeci został sporządzony w języku, którego nie znam. W nagłówku odkrywam swoje nazwisko, reszty

nie potrafię skojarzyć. A może jednak; występuje tam data. O trzy dni późniejsza niż dzisiejsza. Wrzucam listy do pudełka z korespondencją. Opiłowuję sobie paznokcie; włączam radio. Nowojorski Kronos Quartet gra Jimiego Hendriksa. Pół minuty później nie mogę tego znieść. Stoję przed lustrem przy umywalce. Widzę w nim człowieka, którego nie lubię i którego w sobie nie czuję. Mężczyznę z siwymi kłaczkami na skroniach, małą brodawką na lewo od nosa, maleńkimi żyłkami w białku oka powiększonymi przez teleskop na nosie. Moja głowa wygląda jak spuchnięta. Moja o wiele za ładna żona wychodzi z łazienki, otwiera drzwi mojej pracowni. Ma na sobie biały płaszcz kąpielowy, jej włosy są mokre i mocno zaczesane do tyłu. Podchodzi do mnie, kładzie mi od tyłu ręce na biodrach, pyta, dlaczego już jej nie kocham. Kocham. Ale kiedy się do niej odwracam, z mojej krtani nie wydobywa się żaden dźwięk, jak we śnie. Bezsenność, podczas której mam nieokreślone lęki. Około czwartej siedzę, patrząc w okno.

Otwieram komputer: Google to Bóg. Wpisuję słowo „Chazarowie”. Surfuję po czterech stronach, zanim znajdę następujący tekst:

#### CZY IZRAEL DYSPONUJE „BOMBĄ ETNICZNĄ”?

W listopadzie w „The Sunday Times” pojawiła się wiadomość, że izraelskie centrum badawcze zajmujące się bronią biologiczną i chemiczną w Nes Cijjonie pracuje

nad tak zwaną bombą etniczną. W Holandii artykuł został przedrukowany przez „De Telegraaf”.

Podobno uczonym w Izraelu udało się odkryć różnice w kodzie DNA między Żydami i Arabami. Według „The Sunday Times” Izrael dzięki temu odkryciu powinien być zdolny do wytworzenia zarazki, którego ofiarą padną wyłącznie Arabowie, a dla Żydów nie będzie on niebezpieczny.

Pomysł bomby etnicznej nie jest nowy. Według artykułu opublikowanego w 1993 roku w amerykańskim piśmie „CovertAction Quarterly” również Pentagon eksperymentował z bronią biologiczną ukierunkowaną na specyficzną grupę ludnościową. W tym wypadku celem była ludność afroamerykańska w Stanach Zjednoczonych i dlatego w USA poszukiwano zarazki, który reaguje na pigmentację skóry.

[...]

Bomba etniczna [...] na pewno nie jest nowym zjawiskiem. Amerykańskie projekty w tej dziedzinie trudno jednak porównywać z bronią biologiczną, nad którą według „Sunday Timesa” pracuje się w Izraelu. W przeciwieństwie bowiem do amerykańskich osiągnięć w tym zakresie izraelska bomba etniczna nie bazuje na różnicach w pigmentacji, lecz na różnicach w strukturze DNA, a to wydaje się zdecydowanie bardziej skomplikowane. Ponadto biorąc pod uwagę szereg sprzeczności w artykule na ten temat, który się ukazał w „The Sunday Times”, rodzi się pytanie, czy izraelska bomba etniczna, o której mowa, w ogóle jest możliwa.

Pochodzenie doniesień o bombie etnicznej jest nad wyraz podejrzane. Jako źródło „Sunday Times” wymienia kręgi militarne w Izraelu i europejskie środowisko wywiadowcze, lecz bez podawania jakichkolwiek szczegółów. Najbardziej konkretna jest w zasadzie uwaga członka Knesetu Dediego Zuckera, który dał do zrozumienia, że nie może się pogodzić z badaniami nad bronią tego typu. Zucker: *Morally, based on our history, and our tradition and our experience, such a weapon is monstrous and should be denied.*\* Według *The Thirteenth Tribe* brytyjskiego pisarza Arthura Koestlera wschodnioeuropejscy aszkenazyjczycy (tj. zdecydowana większość Żydów w Izraelu) mają swoje korzenie nie w Izraelitach, lecz w narodzie Chazarów, żyjącym pod koniec pierwszego tysiąclecia na terenach między Morzem Kaspijskim a Morzem Czarnym. Podobno naród ten dopiero w tamtym okresie przeszedł na judaizm i nie miał nic wspólnego z plemionami Izraelitów, które w epoce starotestamentowej żyły w Izraelu.

Według Koestlera Chazarowie przyjęli judaizm, ponieważ ich król uważał religijny system „księgi” za bardziej prestiżowy od pogańskiego systemu wiary, którego wyznawcą do tej pory był jego naród. Wybór króla padł na judaizm przede wszystkim dlatego, że państwo chazarские tylko w ten sposób mogło uniknąć wcielenia przez sąsiednie kraje chrześcijańskie i islamskie. W wyniku różnych zmian władzy wielu żydowskich Chazarów trafiło

\* (Z ang.) – Z moralnego punktu widzenia, opierając się na naszej historii, tradycji i doświadczeniu, taka broń jest potworna i powinna zostać zakazana.

zdaniem Koestlera do Europy Wschodniej, gdzie ostatecznie przeobrazili się w aszkenazyjczyków.

Z tego wszystkiego wynika, że Koestler (sam pochodzenia żydowsko-węgierskiego) ciągle stawia znaki zapytania przy semickim pochodzeniu większości Żydów. Wychodzi bowiem z założenia, że Chazarowie nie wywodzą się od Sema (syna Noego, którego uważa się za protoplastę rodu Izraelitów), lecz od Jafeta (innego syna Noego).

Na podstawie swojej teorii o pochodzeniu Żydów aszkenazyjskich od Chazarów Koestler stwierdza, że między samymi Żydami istnieją większe różnice genetyczne niż między Żydami a nie-Żydami.

[...]

Według „The Sunday Times” semickie pochodzenie zarówno Żydów, jak i Arabów stanowi czynnik komplikujący tworzenie bomby etnicznej przez Izrael. Jeśli chodzi o Arabów, z reguły nie wątpi się w ich semickie pochodzenie, pozostaje jednak pytanie, czy sprawa wygląda tak samo w odniesieniu do większości Żydów. Dla niejednego jest to fakt niezaprzeczalny, lecz istnieją wyraźne wskazówki mówiące, że w rzeczywistości nie wszyscy Żydzi wywodzą się z pierwotnych izraelskich plemion. Tym samym niepewna staje się również ich przynależność do rodu Sema.

[...]

© Peter Edel

Następny ranek. W moim życiu nigdy nic się nie dzieje; nastawienie kawy, gazeta wpada do skrzynki. Dokuczliwe

drapanie w gardle. Znowu ból w łydkach. Po prysznicu niebieskie spodnie. Śniłem o wzorku w groszki, granatowej sukience w grochy, dziewczynie pod orzechem, kołyszających się liściach i plamach światła na jej twarzy. Gdy obraz pociemniał, granatowe niebo było pełne białych punkcików, z których powodu śmiałem się jak głupek. Niebo jako niebieski grzyb, pod którym śniłem.

W wydawnictwie czytam manuskrypt o dziwnych maszynach, które występują w utworach pewnego stukniętego francuskiego pisarza o nazwisku Constantin Roubert. Doktorant porównuje dzieła tego fantasty z dylematem Fausta: czy człowiek powinien wybierać rozwój, nawet jeśli prowadzi do koszmarów? Jest to napisane gorączkowo i wspaniale, ale mnie irytuje. Piszę do młodego naukowca wyniośle odmowną odpowiedź, proszę Ritę o papierosa i palę po raz pierwszy od trzech lat. Tytoń z przytłaczającą rozkoszą przypala mi gardło. Znowu bolą mnie nerki. Moje lazurowe jajościski sprawiają mi ból. Jutro druga dializa. Na pustej kopercie zapisuję jedno pod drugim imiona kobiet, z którymi spałem. Lista intymnych porażek. Również fakt, że to robię, odbieram jako porażkę. Ostatnia jest Marga, to imię mojej żony. Zgniatam liścik i wyrzucam do kosza na papier.

Po miesiącach, kiedy wszystko będzie się ze sobą łączyło w sposób, od którego można zwariować, odnajdę go – zagniecenia wygładzone szorstką ręką – przybitego do tylnych drzwi.

Wstępuję do optyka, po raz pierwszy zakładam soczewki. Podrażnienie oka, rozpacz, niezdarność. Nie

poddaję się, próbuję od nowa sam, optyk jest spokojny. Łagodzi mój wstyd i zniecierpliwienie, moje drżące palce, zrzucenie na podłogę zakrętki od płynu prawej soczewki, moje gderliwe próby powiedzenia czegoś sensownego. Okulary, które też zamówiłem, wąskie i czarne, nie podobają mi się. Wsadzam je do modnego, stalowoszarego etui. Nie przepadam za markami, logo łechta jednak moją próżność. Przez zasłonę cieczy łzowej i środka dezynfekującego wychodzę na zewnątrz, widzę płynną ulicę marszczącą się przede mną jak mokra gazeta, szarobiałe niebo nad nią, żalostną bliskość miasta. Niepewnym krokiem udaję się do kliniki, po drodze kupuję jeszcze paczkę papierosów i angielską gazetę. Wojna ze złem, czytam jak przez mgłę. Buty mnie gniołą. Mam ochotę osunąć się w bezgraniczną pociechę pijaństwa, ciepło i anonimowość. Wchodzę do pierwszej po drodze knajpy, zamawiam piwo i jenevera, wychylam je szybko, znowu zamawiam, robię tak trzy razy, zanim pojawi się ulga. Od tego momentu piję rozważniej. Grubo po północy wytaczam się na zewnątrz, nie wiem, gdzie jestem. Kilka godzin później, drżąc, budzę się na ławce w parku. Przez pierwsze minuty powieki wydają się skleione. Z trudem je rozchyłam. Potok cieczy łzowej. Na komórcie mam trzy wiadomości. Dwie od żony i jedną w niezrozumiałym języku. Kasuję wszystko z pamięci. Dzwonię do żony, budząc ją z porannego snu. Widzę mężczyznę, który mi się przypatruje, stojąc przy stawku z kamiennymi łabędziami. Zauważam, że na ekranie komórki pojawia się dziwne logo. Poniżej tekst, którego nie mogę przeczytać;



teraz od razu rozpoznaję pismo. To nie jest cyrylica, nie jest to także arabski. Jest to pismo, które mnie prześladowuje i które nie ma nazwy. Od razu kasuję wiadomość. Moja ręka drży.

Surfuję trochę po internecie. Jestem pacjentem, to znaczy: tym, który jest cierpliwy.

### Przebieg hemodializy

W przypadku hemodializy pacjent jest dializowany dwa do trzech razy tygodniowo. Pacjent siedzi albo leży obok aparatu dializującego. Przez igłę wbitą do żyły krew jest pompowana rurką do dializatora, gdzie napotyka na wpół przepuszczalne błony, poprzez które następuje oczyszczenie. Następnie inną rurką krew wraca do ciała. Dializa trwa od trzech do pięciu godzin. W tym czasie krew jest bez przerwy pompowana, tak długo, aż usunięta zostanie odpowiednia ilość produktów przemiany materii i płynów. W tym czasie pacjent nie może wstawać z łóżka czy krzesła. Zwykle coś czyta albo ogląda telewizję.

„Witamy w Amgen”, taki tytuł nosi strona internetowa o dializie nerek. Google to Bóg.

# Miłość w czasach terroryzmu i paranoi.

John De Vuyst jest redaktorem w wydawnictwie. Szczęśliwie się ożenił. Pewnego dnia dostaje dwa tajemnicze listy w języku, który jest mu obcy. Niecałe dwadzieścia cztery godziny później na drugim piętrze Instytutu Świata Arabskiego w Paryżu wybucha bomba, a wkrótce potem dochodzi do potężnej eksplozji w bazylice Świętego Piotra w Rzymie. Sprawy nabierają tempa, kiedy de Vuyst odkrywa, że istnieje związek między zaadresowanymi do niego listami i atakami terrorystycznymi nieznanymi wtedy jeszcze fundamentalistom.

*Głośniej niż śnieg* to wnikliwa analiza współczesności, w której zacierają się granice tożsamości, religia jak nigdy dzieli zamiast łączyć, a terroryzm i wiara w globalny spisek ciągnie ludzkość w odmęty psychozy i strachu.

**Hertmans napisał coś więcej niż thriller – jego powieść rozsadza ramy gatunku. To powieść krwawa i czuła, brutalna i sensualna. Niezapomniana.**

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



cena 39,90 zł

PATRONAT MĘDZIENY

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



[lubimyczytac.pl](http://lubimyczytac.pl)



w sprzedaży także



ROOM

KSIAZKI